 Czas czytania: 12 min.

Nikt nie może uratować się przed potęgą wód podczas wielkiej powodzi. Każdy potrzebuje ratownika, który zabierze go do swojej łodzi. Ci, którzy nie wsiądą do łodzi, ryzykują, że zostaną zmieceni przez szalejące wody. Ksiądz Bosko zrozumiał głębsze znaczenie swojego snu o ratującej tratwie i opowiedział do swoim młodym.

Ksiądz Bosko, przed tłumem swoich młodych, przemówił w ten sposób w poniedziałek wieczorem, pierwszego dnia 1866 roku:

Zdawało mi się, że jestem między rozbawionymi chłopcami z Oratorium, gdzieś w pobliżu Castelnuovo d'Asti na obszernych błoniach. W tem na widnokręgu ukazuje się woda, która gwałtownie wzbierając przewalała się ku nam swymi spienionymi falami.

Przerażeni zaczęliśmy uciekać w stronę pobliskiego młyna, stojącego z dala od innych zabudowań, a otoczonego grubym jakby fortecznym murem. Zatrzymaliśmy się przed nim na podwórzu, ale woda i tu zaczęła się wciskać; więc weszliśmy do środka, a potem do izb na górnym piętrze, skąd dopiero mogliśmy dokładniej zobaczyć rozmiary klęski i grozę naszego położenia. Od wzgórz Supergi aż po Alpy, zamiast pól uprawnych, łąk, ogrodów czy wiosek i miast, widać było jedno olbrzymie jezioro. A woda podnosiła się stale wyżej, tak, że straciliśmy wszelką ludzką nadzieję ratunku. Poleciłem wiec chłopcom, żeby oddali się z całą ufnością, w ręce Boskiej Opatrzności i opiece naszej ukochanej Madonny.

Kiedy wody sięgały już górnego piętra, przerażenie było ogólne. Jedynym ratunkiem dla nas mogła być wtedy olbrzymia tratwa, którą w tej chwili ujrzeliśmy, że płynie ku nam powoli, ale do samego młyna nie mogła dopłynąć, bo przeszkadzał ów gruby mur, który sterczał jeszcze nad wodą. Nie było innej rady, jak przejść przez cienki stosunkowo, a długi pień drzewa, który będąc wsparty jednym końcem o tratwę rozhuśtaną falami balansował razem z nią.

Wreszcie sam zdobyłem się na odwagę i pierwszy przeszedłem szczęśliwie. Teraz i chłopcy nabrali animuszu. Aby im ułatwić przejście, wyznaczyłem księży i kleryków, by od strony młyna podtrzymywali jakoś wspinających się, a inni, którzy już byli na tratwie, aby podawali ręce wskakującym do niej. Rzecz dziwna, że ci pomagający, mimo że się zmieniali, bardzo szybko się męczyli i ja również nie mogłem ustać na

nogach.

Tymczasem wielu chłopców, zdenerwowanych obawą śmierci, czy chcąc okazać się śmielszymi, znalazło jakąś długą deskę, nieco szerszą od naszego pnia i z niej zrobili sobie drugą kładkę. Nie czekali, więc na pomoc księży, ale hurmem rzucili się ku niej.

Krzyknąłem przestrzegając ich: Zaczekać, nie pchać się, bo powpadacie do wody, nic nie pomogło. Rzeczywiście jedni popchnięci, drudzy straciwszy równowagę wpadli do wody, w końcu załamała się i deska razem z tymi, co na niej byli, tak, że prawie czwarta część chłopców padła ofiarą swego kaprysu.

Ja trzymając mocno koniec pnia, po którym chłopcy przechodzili, spostrzegłem, że wody już wezbrały ponad ów mur oddzielający tratwę od młyna. Wobec czego zrobiłem wszystko, co możliwe, aby ją bliżej młyna przycumować i to mi się na szczęście udało. Wtedy, ks. Cagliero stojąc jedną nogą, na okiennicy, drugą na tratwie, przerzucał po prostu jednego chłopaka za drugim z młyna na łódź.

Zostali jeszcze ci, co schronili się na dachu, ale woda i tam sięgała, podnosząc na szczęście ze sobą i tratwę. Zawołałem, więc na nich, aby pomodlili się gorąco i spokojnie, trzymając się za ręce, schodzili na dół. To udało im się szczęśliwie przy pomocy kolegów. Oglądnąwszy się po tratwie, przekonaliśmy się, że na niej jest dużo chlebów ładnie przechowanych w koszykach.

Teraz obejmując komendę nad wszystkim niepewny, co nas może jeszcze czekać, rzekłem: Maryja Najświętsza jest Gwiazdą Morza. Nikogo nie opuści, kto się do Niej ucieka. Oddajmy się, więc pod Jej opiekę, a Ona wyratuje nas i szczęśliwie doprowadzi do portu.

Tak pokrzepieni na duchu popłynęliśmy naprzód, oddalając się szybko od zalanego już młyna. Tratwa pędzona silnym wiatrem mknęła tak gwałtownie, że musieliśmy się czasem trzymać gromadnie pod ręce, by nie upaść. Po dłuższej takiej szalonej jeździe, nagle tratwa porwana wirem zaczyna się kręcić w kółko i to tak gwałtownie, że zdawało się, iż zatonie. Na szczęście, potężniejszy podmuch wichru wyrwał ją z tego odmętu. Powtórzyło się to jeszcze kilka razy, aż wreszcie po dłuższym czasie zatrzymaliśmy się u brzegu jakiejś pięknej i dość obszernej wyspy jeszcze przez powódź niezalanej.

Wielu chłopców uradowanych tym widokiem, dowcipkując, że Pan Bóg stworzył człowieka na ziemi a nie na wodzie, bez pozwolenia powyskakiwało z tratwy, zachęcając do tego innych. Ale krótka była ich radość. Nowa fala zalała i ten skrawek lądu, a nieszczęśliwi zbiegowie znaleźli się po pas w wodzie, a po chwili porwani falami, zniknęli w głębinach.

Ze smutkiem powiedziałem sobie i innym: Sprawdza się przysłowie, że kto robi według własnej głowy dopłaca z kieszeni.

Tymczasem tratwa oderwana od brzegu, zdana na łaskę wzburzonych fal, pędziła w dal. Widząc wszystkich przybladłych ze strachu, pokrzepiłem ich myślą o Matce Najświętszej: Odwagi. Matka Najświętsza nas nie opuści. Po tych słowach wiedzeni jedną myślą, odmówiliśmy serdecznie akty wiary, nadziei i miłości, a po akcie żalu, jeszcze kilka pacierzy. Następnie każdy ze złożonymi rękoma modlił się osobno. I tu nie brakło złośliwych, czy obojętnych, którzy kręcąc się po tratwie tu i tam podśmiechiwali się z klęczących.

W tem nagle tratwa wpadła znowu w gwałtowny wir co tak nią wstrząsnęło, że ci co stali mędrkując zatoczyli się, a gwałtowne uderzenie wichru strąciło ich do wody. Było ich około, trzydziestu; ponieważ woda była brudna i głęboka, ratunek był niemożliwy i więcej ich nie zobaczyliśmy. My zaś zaintonowaliśmy: „Salve Regina” błagając o pomoc i dalszą opiekę Gwiazdę Morza.

Choć burza trochę zelżała, tratwa jak ryba sunęła naprzód, nie wiedząc, dokąd nas ona zawiezie. Tymczasem trzeba było chłopców chronić od wypadków i ratować tych, co wychyliwszy się zanadto wypadali za burtę, karcić tych, co odważyli się spychać kolegów z pokładu. Dla ułatwienia sobie pomocy w ratowaniu, kilku księży postarało się o drągi czy pasy lub inne odpowiednie narzędzia, które by można było podać tonącym i ocalić ich, choć i temu pewni zuchwalcy przeszkadzali. Klerycy zaś mieli dozorować, aby nieporządki nie powtarzały się.

Ja stałem pod wysokim masztem otoczony księżmi, klerykami i chłopcami, którzy wykonywali moje rozkazy. Dopóki wszyscy słuchali, wszystko szło dobrze. Czuliśmy się spokojni i bezpieczni. Kiedy jednak niektórzy zaczęli narzekać na niewygodną tratwę, wyrażać obawy co do dalszej niepewnej podróży, narzekać na niebezpieczeństwa tej przeprawy, dyskutować na temat miejsca wylądowania, obmyśliwać sposoby dostania się na inny okręt, marzyć o bliskim wylądowaniu, powątpiewać, czy wystarczy żywności, kłócić się między sobą i odmawiać

posłuszeństwa, natenczas sytuacja pogorszyła się znacznie. Nadaremno starałem się uspokoić malkontentów. Gdy wtedy spotkaliśmy łodzie płynące w odwrotnym kierunku niż nasza tratwa, ci lekkomyślni postanowili działać na własną rękę. Zobaczywszy, więc kilka desek pływających po wodzie, dorzucili do nich jeszcze parę znalezionych na tratwie i na nich zaryzykowali przepłynięcie do mijających nas barek. Była to chwila dla mnie bardzo bolesna. Czułem, że idą ku własnej zgubie. I rzeczywiście, jednych zalały fale, drugich pochłonęły wiry, inni rozbili się o podwodne skały, a reszta, choć dotarła do upragnionych łodzi, razem z nimi potonęła. Nastała ciemna, straszna noc. Tym była groźniejsza, że z dala dochodziły rozpaczliwe wołania tonących, zmieszane z wyciem wichru i rykiem bałwanów. Wszyscy, którzy znaleźli się poza naszą tratwą, zginęli. *In mare mundi submerguntur omnes illi, quos non suscipit navis ista* – wszyscy się potopią w morzu świata, którzy nie dostaną się na okręt Najświętszej Maryi Panny.

Liczba moich chłopców znacznie się zmniejszyła, ale mimo to było ich jeszcze wielu. Z pomocą Matki Najświętszej przetrwaliśmy szczęśliwie tę straszną noc i nad ranem tratwa nasza wjechała do cieśniny między dwoma śliskimi brzegami, na których rosły dzikie krzaki, gdzie pełno było szczątków rozbitych okrętów, a więc desek, wioseł, połamanych masztów itp. Tu roiło się od mnóstwa skorpionów, ropuch, wężów, jaszczurek, krokodyli i innych ohydnych bestii. Na przybrzeżnych karłowatych wierzbach, chylących się nad naszą tratwą siedziały koty o szczególnym wyglądzie, pożerające części ciał ludzkich i wstrętne małpy usiłujące porwać chłopców, ale ci bardzo zręcznie schylając się udaremniali ich zakusy. Zobaczyliśmy też trupy dawnych naszych współtowarzyszy z tratwy, których fale wyrzuciły na brzeg. Ciała jednych rozbite były o skały, innych zamulone w błocie, inne trupy pływały opodal w bagnie. Wtem daje się słyszeć na tratwie głos jednego z naszych: Cóż to za potwór? Pożera ciało tego i tego? i pokazując palcem kolegom powtarzał nazwisko po kilka razy. Za chwilę nowy straszny widok przedstawił się naszym oczom. W niewielkiej odległości zobaczyliśmy ogromny piec pełen żaru i płomieni. W tym piecu, w jego płomieniach przewalały się ciała o postaciach ludzkich, tak, że raz widziało się jakąś głowę, to rękę czy nogę, to znowu barki, a to w ciągłym ruchu i drganiach konwulsyjnych, tak jakby się to wszystko gotowało we wrzątku.

Niestety, ku naszemu wielkiemu przerażeniu, widzieliśmy tam wielu z naszych wychowanków. Nad tym piecem była położona wielka pokrywa z napisem: „Tu prowadzą zlekceważone Przykazania VI i VII”.

W pobliżu pieca ciągnął się ugór zarośnięty z rzadka rachitycznymi drzewami, bez żadnego porządku. Między nimi wałęsało się wielu chłopców tych, co niedawno wpadli do wody, czy w ogóle wykręcili się z tratwy. Nie zważając na niebezpieczeństwo wysiadłem na brzeg, by się nimi zająć. Ale zauważyłem, że mieli oczy, uszy i serce pełne owadów i obrzydliwych robaków, które ich kąsały, sprawiając wielką boleść. Chciałem się zbliżyć do jednego, co cierpiał więcej od innych, ale uciekł i skrył się gdzieś za drzewami. Inni z bólu rozdzierali sobie szaty, spod których widać było pełno wężów i żmij kąsających. Na szczęście, w pobliżu biło źródło, z którego buchała obficie świeża woda przesycona ślazem. Kto w nim się umył, bywał oczyszczony, uleczony i bez kłopotów mógł wrócić na tratwę. Zachęciłem, więc tych nieszczęśliwych, aby z tego skorzystali. Większość usłuchała, paru tylko odmówiło. Nie zwlekałem dłużej, uzdrowionych wezwałem na tratwę i ci poszli ze mną bez przeszkód ze strony owych potworów, które powoli się oddalały. Zaledwie wsiedliśmy, tratwa pod naporem wichru popłynęła dalej cieśniną i wjechała na pełne morze. My wszyscy uradowani zaśpiewaliśmy całym sercem „Cześć Maryi…” dziękując Jej za dotychczasową opiekę. Podczas tego śpiewu burza się uspokoiła, fale się wygładziły i nasz okręt mógł najspokojniej płynąć dalej, jakby popychany, niby wiosłując figlarnie.

A oto zjawia się na niebie wspaniała tęcza, piękniejsza od zorzy polarnej, a na niej wielkimi literami wypisany wyraz dla nas w pierwszej chwili niezrozumiały: M. E. D. O. U. M. – mnie się zdaje, że każda z liter jest początkową słów: *Mater et Domina Orbis Universi Maria*. Matka i Pani całego wszechświata Maryja. Nareszcie po tej długiej i niebezpiecznej podróży, ukazała się na horyzoncie ziemia. Łatwo sobie wyobrazić, jak w miarę zbliżania się do upragnionego brzegu, coraz większa radość napełniała nasze serca. Tym większa zaś była, że wnet przekonaliśmy się, iż dojeżdżając do przepięknej okolicy urozmaiconej lasami i kępami cudnych drzew, mieniących się w blasku wschodzącego słońca, wszystko razem napawało nas błogim spokojem i uczuciem wytchnienia. Wnet odczuliśmy, jak tratwa otarła się o przybrzeżny piasek i jeszcze sunąc się po nim chwilę zatrzymała się u stóp wspaniałej winnicy. Do tej naszej tratwy można było zastosować słowa: *Eam tu Deus Pontem fecisti* – pomostem dla mnie stała się z woli Bożej, którym z fal świata do portu spokojnego mogliśmy się dostać. Chłopcy jednym skokiem znaleźli się na lądzie, mając wielką ochotę dostać się do winnicy.

Po kilku krokach przypomniawszy sobie owych nieszczęśliwych, co uprzednio samowolnie z tratwy się oddalili i marnie zginęli, wrócili jak najprędzej na barkę. Oczy wszystkich zwrócone były na mnie i można w nich wyczytać pytanie: Księże

Bosko, czy już czas? Możemy już wysiadać? Owszem, rzekłem po chwili namysłu. wysiadamy, już czas. Jesteśmy w bezpiecznym miejscu. Wśród ogólnych okrzyków radości, zacierając ręce z zadowolenia, chłopcy rozbiegli się po winnicy. Była ona starannie utrzymana. Wielkie złociste winogrona dorównywały tym z Ziemi Obiecanej, a owoce na drzewach były jak w raju, piękne na wejrzenie i do jedzenia słodkie. Dalej w głębi tej winnicy wznosił się wielki zamek, otoczony wspaniałym parkiem i potężnymi murami. Do niego skierowaliśmy nasze kroki. Wstęp był wolny, a byliśmy bardzo zmęczeni i głodni. Na szczęście, w jednej z sal, całej wyzłacanej, znaleźliśmy wielki stół z wybornymi potrawami, których każdy mógł zakosztować do woli. Oczywiście, skorzystaliśmy z tego bardzo chętnie.

Gdy już kończył się nasz posiłek, wszedł do sali elegancki pan bogato ubrany, o miłej powierzchowności, który po przyjacielsku nas pozdrowił, wymieniając wszystkich po imieniu. Zauważywszy nasze zdumienie na widok jego piękności i tego, co już zaobserwowaliśmy. Uspokoił nas mówiąc: To jeszcze nic, chodźcie a zobaczycie. I poszliśmy za nim. Z balkonu pokazał nam cały park i przyległe ogrody mówiąc, to wszystko nasze, byśmy mieli miejsce na zabawy. Następnie oprowadzał nas po dalszych salach coraz bogatszych i zdobniejszych, aż wreszcie otworzył drzwi misternie rzeźbione, wprowadził nas do kaplicy. Zewnątrz wydawała się ona mała, ale wewnątrz była tak obszerna, że ledwie jej koniec można było dostrzec. Posadzka, ściany, sklepienia, wszystko było wykonane artystycznie z marmuru spajanego złotem i srebrem, wysadzane drogocennymi kamieniami. Zachwycony tak wspaniałością wykrzyknąłem: Ależ chyba tylko w samym raju może być tak pięknie. Słowo daje, że stąd się nie ruszę. W środku olbrzymiej tej świątyni, na potężnym postumencie wznosiła się majestatyczna statua przedstawiająca Maryję Najświętszą Wspomożycielkę. Zawołałem, czym prędzej chłopców, którzy rozeszli się oglądać szczegóły tego świętego miejsca i razem z nimi stanąłem przed statuą, aby podziękować Pani Niebiańskiej za tyle łask wyświadczonych.

Rozejrzawszy się po chłopcach teraz dopiero oceniłem rozmiar tej świątyni, bo choć chłopców były tysiące, to wydawało mi się, iż stoi nas tylko malutka grupka. Gdy tak chwilę staliśmy nie mogąc się nadziwić niebiańskiej piękności owej statuy, ta zaczęła się ożywiać i do nas uśmiechać. Między chłopcami powstał ruch i szmer. Matka Boska porusza oczami, wołali niektórzy. Rzeczywiście, Maryja Najświętsza spoglądała na nas wzrokiem pełnym macierzyńskiej dobroci. Za chwilę zrywa się ogólny krzyk: Matka Boska porusza rękami. Rzeczywiście wyciągnęła do nas swoje ręce, rozpostarła płaszcz jakby nas chciała pod niego przygarnąć. Łzy spłynęły nam wszystkim po policzkach. Matka Najświętsza porusza wargami, wyszeptało kilku.

Zapanowała głęboka cisza, a Madonna otworzywszy swe usta, głosem przedziwnie miłym i słodkim zapewniła nas:

Jeśli wy będziecie dla mnie oddanymi synami, to ja będę dla was czułą Matką.

Na te słowa padliśmy na kolana śpiewając z całego serca: „*Lodate Maria o linque fedeli*”, „wielbicie Maryję języki wszystkich wiernych”.
Potężna ta melodia, tak miła dla ucha, wzruszyła mnie do reszty, tak że obudziłem się.

Moi kochani chłopcy, w tym śnie oglądamy morze wzburzone tego świata. Jeśli będziecie względem mnie ulegli i posłuszni, nie dając się powodować złym podszeptom, to i unikniecie grzechu, opanujecie swoje namiętności i dokonacie wiele dobrego, a w końcu dobijemy wszyscy szczęśliwie do portu zbawienia. Wtedy wyjdzie nam naprzeciw Posłaniec Najświętszej naszej Madonny, który w Imieniu Boga zaprowadzi nas do królewskich ogrodów, czyli do Nieba. Jeśli zaś postępowalibyście według własnego kaprysu, nie słuchając mych wskazówek ulegniecie rozbiciu.

Ksiądz Bosko jeszcze i później w różnych okolicznościach dawał prywatnie wyjaśnienia odnośnie do powyższego snu. Oto ich ogólne streszczenie.

Łąka, to świat; woda grożąca zatopieniem nas, to niebezpieczeństwa światowe; powódź rozszerzająca się tak straszliwie, to występki nagminne, zasady bezbożne i prześladowanie dobrych; młyn, czyli miejsce spokojne i odosobnione, jako dom chleba, to Kościół Święty Katolicki, kosze z chlebem, to Eucharystia, służąca na pokrzepienie w podróży; tratwa, to Oratorium; pień po którym przechodziło się z młyna na tratwę, to Krzyż czyli ofiara ze siebie Bogu przez umartwienie; deska, jako niby wygodniejsza kładka do przejścia na barkę, to reguła przekraczana. Wielu wciska się na tę barkę dla celów dziwacznych i niskich, dla kariery, dla zysku, honorów, wygodniejszego życia niżby mieli w świecie ci, oczywiście potem zaniedbują praktyki pobożne i jeszcze się z drugich podśmiechują. Księża i klerycy są symbolem posłuszeństwa i cudów, jakich dokonują w pracy nad zbawieniem bliźnich; wiry wodne, to różne prześladowania, jakie były i będą; wyspa zatopiona później, to nieposłuszni, którzy powracają do świata, gardząc swym powołaniem. To samo odnosi się do tych, co przechodzą na inne okręty. Ci, co się z wody uratowali z pomocą innych, to ci, co po upadku w spowiedzi odzyskują łaskę Bożą; cieśnina, pokraczne potwory, małpy, to różnego rodzaju bunty, okazje do grzechu, powaby,

pokusy itd. Robaki w oczach, na języku, w sercu, to spojrzenie nieskromne, rozmowy śliskie, przywiązanie nieodpowiednie; fontanna z wodą orzeźwiającą, to Sakramenty święte; owe błota i piec ognisty, to miejsce grzechu, ale zarazem i potępienia.

Tu jednak trzeba zauważyć, że Ksiądz Bosko i przy innych snach to podkreślał, iż jeśli kogo widział w miejscu potępienia, to nie znaczy, że ten na pewno będzie potępiony, tylko oznacza, że gdyby taki żył w tym usposobieniu, w jakim jest w danej chwili snu, to by takie życie doprowadziło go do wiecznej zguby. Ów ląd szczęśliwy, winnica, świątynia, to Towarzystwo Salezjańskie już ustabilizowane i zwycięskie. Paź wspaniały oprowadzający Księdza Bosko z chłopcami po pałacu, to pewno jeden ze zmarłych wychowanków Oratorium, a może sam Dominik Savio. (MB IT VIII, 275-283 / MB PL VIII 139-147)